

## Pierwsze dni lata — Leniwiec2

**Od autora:** Nie wiem czemu czcionka taka mała, można powiększyć po prawej.

---

Natura rzeczywistości nie zmieniła się.

Granatowe klapki, już nie Kubota, jakieś nowe, ale podobne, kleiły się od czarnego, gęstego torfu. Przystanąłem na moment, żeby wyczyścić palce u stóp, bo rozmiarem i kolorem zaczynały przypominać białe, taplające się w błocie pędraki.

Ścieżka trochę zarosła, ale bez przesady, spokojnie można było przejść. Czasami tylko, gdy odgarnąć zielone chaszczki, ręce piekły od ukrytej w gąszczu pokrzywy.

Komary też chlały jak dawniej, może tylko trochę mniej zaciekle - dość szybko dało się do nich przyzwyczaić. Co innego pajęczki sieci rozwieszane między drzewami, nad ścieżką.

Nikt nie szedł już przede mną by je zbierać.

\*

- Myślisz, że go sprzedała? - spytała cicho. Była to raczej cisza zadumy niż smutku.

Rozejrzałem się po działce, na którą w ogóle nie powinniśmy byli wchodzić. Wysoki płot przeszedł już z wyblakłego brązu w zmurszały seledyn, w wielu miejscach belki zupełnie się posypały i odkryły niegdyś żywe, teraz zupełnie suche i kruche drewno. Posadzone wokół sosny i świerki, chociaż jeszcze młode, zrzuciły wszystkie igły. Wyglądały jak wielkie, brunatne, powykręcane, rybnie ości. Na skalniaku rósł jeden samotny dmuchawiec.

Spojrzałem w stronę domku. Ganek był szary, pusty i zakurzony, stół i krzesła stały pewnie w środku. Przy drzwiach wisiały dwie kłódki – jedna mała, złota, znana, druga duża, ciężka, ciemnoszara.

- Nie wiem. Nawet jeśli sprzedała, to raczej nikt się nim nie zajmuje.

- No tak... Szkoda...

- Szkoda, że co?

Pogoda była dziwnie dobra. Błękitne, szerokie niebo wisiało nad naszymi głowami jak ogromny, duszny klosz.

- No wiesz. Że nie udało nam się go dostać.

- To tylko drewno – rzuciłem bez zastanowienia, ale natychmiast poczułem się głupio. W tej kupie drewna było dla nas więcej życia niż w czymkolwiek innym na ziemi. Na szczęście puściła to mimo uszu.

- Zjadłabym coś słodkiego, chodźmy do sklepu...

- Jak ona mogła to wszystko zostawić? Przecież wie, ile to dla niego znaczyło... - jęknąłem na głos,

choć chciałem powiedzieć coś normalnego.

- Chodź. - odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Stałem przez chwilę niezdecydowany. Chciałem się przejść.

- Idę na kładkę, weź mi coś! – krzyknąłem w stronę jej pleców, gdy przeskakiwała przez płot po drugiej stronie działki.

\*

Las przeredzał się, a ścieżka stawała się coraz bardziej błotnista; maliny, pokrzywy i inne leśne chaszczki niechętnie zaczęły ustępować bagiennym szuwarom. Pachniało jeziorem. W końcu zakręciła ostro, a ja ujrzałem kładkę. Stąpałem powoli po tych samych skrzypiących deskach, które ojciec kładł dwa lata temu.

Zwykle kra niszczyła belki, na których opierał się pomost i co roku trzeba było go odbudowywać. Ostatnio jednak, jak na złość, nie było w ogóle mrozów, więc drewno stało zupełnie nienaruszone.

Dwie ściany trzciny z obu stron kładki, które na początku tworzyły niemalże tunel, po chwili, szepcząc cicho, zaczęły się od niej oddalać. Ostatni łagodny skręt w lewo, uważnie, bo jedna deska wypadła, i przed oczami stanął ten sam krajobraz, który zawsze, nieważne gdzie byłem, siedział gdzieś z tyłu mojej głowy.

Płaska tafla jeziora lśniła od popołudniowego słońca. Nie mogłem dociec, czy to ona odbija błękit nieba, czy to niebo odbija jej zieleni. Gdzieś na horyzoncie żaglówki sunęły leniwie, blisko, znad lewego wybrzeża dobiegał szum lasu. Trzciny i pałka wodna okalały kładkę z dwóch stron, tworząc płytką zatokę, gdzie we dwójkę bawiliśmy się za dzieciaka. Odetchnąłem z ulgą.

\*

Dwie czerwone wazki przemknęły mi nad głową, czy to w tańcu godowym, czy w pogoni za zdobyczą.

Ciekawe ile wazek urodziło się przez te dwa lata w jeziorze. Czy te dwie to córki czy wnuczka tych, które widziałem wtedy? A może w ogóle nie są z nimi spokrewnione? Ile pokoleń wazek wartę są moje wspomnienia?

Kiedy leżałem na słońcu z jednej strony czułem gniew. Chciałem się podnieść, zetrzeć te stare dechy w proch, zmielić je w pył, żeby nic po nich nie zostało. Jakim prawem jeszcze nie spróchniały? Chciałem rwać trzciny i pałkę wodną, wziąć siekierę i ścinać cały las albo po prostu go podpalić, nie zostawić kamienia na kamieniu, nawet jednej zdechłej szczapy.

Z drugiej strony czułem spokój. Taki dziwny, pusty spokój. Ten sam las, to samo jezioro, ta sama kładka, ten sam, zaniedbany, ale ten sam domek. Wszystko na tym samym miejscu i działa tak samo. Tak samo ma sens i nie ma sensu. Byłeś, nie ma cię, dzieci dalej puszczają kaczki na jeziorze.

Pomost zadrżał, najpierw lekko, potem mocniej w rytm czyichś kroków. W końcu usłyszałem skrzypienie desek.

- Trzymaj. - Podała mi niebieskie opakowanie. W środku był lód na patyku, śmietankowy, taki sam jak

ten, który miała w ręku - duży i prostokątny.

Nigdy nie zwracałem na to uwagi, bo przecież wychowaliśmy się razem, ale w tym popołudniowym słońcu wydała mi się bardzo piękna.

- Dzięki. - Wyciągnąłem lód z papierka i nagryzłem lekko.

- Idziemy do słuzy?

- Posiedzę jeszcze chwilę. Możesz tam na mnie poczekać.

- Jak sobie chcesz. - odparła, biorąc ode mnie papierek.

Oddalała się nieśpiesznym, ale sprężystym krokiem. Złota fala włosów błyszczała w promieniach słońca na tle śniadych pleców, szczupłe łydki kurczyły się rytmicznie, ramiona migotały od kropelek potu, a ja znów przypomniałem sobie, że jesteśmy jeszcze młodzi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Leniwiec2, dodano 28.06.2018 11:50

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).